ROK I. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

№ 3. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 16 lutego 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA.



GDYNIA (DO ART. GDYNIA — MIASTO POLSKIEJ PRZYSZŁOŚCI).

DR. JERZY MICHAŁOWICZ.

DZIECI I MŁODZIEŻ W ROBOTNICZYCH KLUBACH SPORTOWYCH.

Jednem z zagadnień, które napawa dużą troską tych wszystkich, którzy zajmują się wychowaniem dzieci szkół powszechnych, jest kwestja, jak wypełnić czas dzieciom poza godzinami szkolnemi.

Zagadnienie to mniej palące dla inteligencji i klas społecznych lepiej uposażonych, jest nader ważnem dla robotników, pracowników kolejowych, tramwajowych itp. itp.

Chłopiec, wychodzący ze środowiska robotniczego, a liczący np. 13—14 lat, niechętnie spędza wolny od nauki czas w domu.

Jakże powszednim w dzielnicy robotniczej jest obrazek, spotykany na każdem, prawie, podwórku, pośród śmieci i błota lub też na jezdniach, mniej uczęszczanych ulic, a mianowicie: grupa chłopców grających w piłkę. Jakie wartości wychowawcze taka gra lub zabawa uliczna przedstawia, wiemy dobrze.

Tu uczy się młodzież palenia papierosów, tu uczy się picia wódki, tu, wreszcie, zawiera pierwsze swe znajomości z płcią drugą.

O wartościach higjenicznych i zdrowotnych lepiej nie mówić!

Nic dziwnego, że dzieci wychowywane w tych warunkach, mimo nawet dobrych i pomyślnych warunków domowych, nie stają się ludźmi dodatniemi, moralnemi, nic dziwnego, że gruźlica na tym terenie zbiera swe najobfitsze żniwo.

Szkoła robi bardzo dużo.

Wystarczy porównać dzisiejszy typ młodzieńca z klasy robotniczej z typem starego robociarza. Odrazu, przy pierwszej rozmowie, uwydatni się bardzo wielka przewaga intelektualna młodego. Postęp jest niewątpliwie ogromny!

Ale szkoła nie może podejść do duszy dziecka tak, jakby do niej podejść chciała. Szkoła również nie może rozwiązać zagadnienia zdrowia młodego pokolenia.



Mimo dużych wysiłków dziecko traci z nią kontakt i podczas wolnych godzin znajduje się prawie całkowicie pod wpływami ulicy.

W jaki sposób usunąć zło i czem mu zaradzić?

Już od starożytnych czasów daje się zauważyć kolosalny pęd dzieci i młodzieży do ruchu i zabaw ruchowych, do tego wszystkiego co nazywamy „sportem“.

Już samo z siebie, bez żadnej nauki wychodzą-



ce zamiłowanie do gry w piłkę lub „berka“ może przekonać o tem każdego.

Żywiołowy rozwój klubów sportowych młodzieży starszej i masowe chodzenie na zawody sportowe przez dzieci w wieku 11 — 16 lat świadczą o tem również.

Przed opiekunami młodzieży i dzieci szkół powszechnych staje fakt masowego zainteresowania się sportem. Dzieci każdą wolną chwilę poświęcają sportowi.

Otóż wykorzystanie tego zapału i użycie go jako metody wychowawczej, może przedstawiać naprawdę duże znaczenie.

Zainteresowanie się tym zjawiskiem wykazały już w Warszawie i całym szeregu miast polskich, robotnicze kluby sportowe.

Np. Rob. Klub Sport. „Skra“ w Warszawie, posiadając własne boisko i dom gimnastyczny, założył przy klubie t. zw. drużynę „Przyszłości“, składającą się z dzieci do lat 16.

Wykorzystał siłę atrakcyjną sportu i wciągnął do drużyny około 200 dzieci.

Dzieci te, tak chłopcy, jak i dziewczęta, mają do swej dyspozycji lokal klubowy od godz. 2 do 5, uprawiają przez 1 godzinę gry ruchowe i gimnastykę, przez 2 zaś godziny czytają, grają w warcaby, szachy, ping-ponga, jednem słowem, spędzają wolny od nauki czas w środowisku kulturalnem.

Nadzór nad dziećmi sprawuje ich instruktor sportowy — (równocześnie członek klubu, starszy zawodnik) i wybrany przez nich „kapitan“.

Nie trzeba nikomu tłomaczyć, że praca taka uzupełnia wspaniale pracę wychowawczą szkoły, dając równocześnie duże możności rozwoju fizycznego.

Nie trzeba również tłomaczyć, że dziecko, które samo bierze udział—i to żywy udział w pracach swej drużyny sportowej, rozszerza widnokrąg swoich zainteresowań, przenosząc je równocześnie z brudu ulicy do czystej atmosfery klubu.



Widzimy wyraźnie, że zrobiono w rozwiązaniu zagadnienia przez nas poruszonego duży krok naprzód. Zło do pewnego stopnia usunięto.

I, uznając to, musimy powiedzieć, że ludzie, zajmujący się opieką i wychowaniem naszych dzieci muszą pójść naprzeciw wysiłkom, które robią kluby sportowe robotnicze. Muszą im wszędzie dopomagać.

A może tą drogą rozwikłamy kwestję wychowania lepiej, niż to robiono dotychczas.

BOHDAN PAWŁOWICZ. *Z CYKLU „WARSZAWA“.*

WIECZOREM NA TRZECIM MOŚCIE.

W atramentowych wodach szklą się żółte błyski.
U poręczy się patrzę w toń ciemną, ruchliwą,
Świat się zdaje daleki, zarazem tak bliski,
Toń się zdaje tak martwą, zarazem tak żywą...

Wszechświat w ciszy się zbliżył, że dusza ogromem
Przytłoczona, a wolna na podniebnej perci,
Sama stała się miastem, miljonem i domem,
Siostrą stała się życia, siostrą cichej śmierci.

JANINA STRZELECKA.

WZIĄŁ PIENIĄDZE Z SZUFLADY.

Matka Bronka tonie we łzach. Miejsca sobie znaleźć nie może. Już ani wymyśla, ani głośno lamentuje wobec sąsiadek, które ją odwiedzają i wysłuchują po raz któryś tam opowieści o całem zdarzeniu, tylko ociera oczy fartuchem i spogląda w stronę komody.

— Mój Ty Boże! I ktoby to się był spodziewał, że do tego dojdzie, że ten Bronek, taki dawniej cichy, taki potulny, na tę rzecz się waży.

— Już to ona coś dawno miarkowała, niby z powodu reszty. Parę razy przyłapała go na tem, że inne ceny, niż były w sklepiku podawał, aż wkońcu przestała go po co bądź posyłać, sama po wszystko latała. Nieraz też zastanawiała się nad tem, że to chłopiec nigdy jej już teraz o pieniądze nie prosi, ani na zeszyt, ani na książkę, ani na nic.

Prawda, że to ona nieraz go zburczała, a mało wiele razy pieniędzy nie dawała na te jego wydatki. Nieraz się chłopiec i spłakał i do szkoły nie chciał iść, ale wiadomo, czasy są ciężkie, o grosz coraz trudniej, no to myślała sobie, że się obejdzie bez kredek, czy czego. A tu Bronek widać sam sobie poradził i teraz ona dopiero widzi, że on z tą resztą tak „machlował" aby mieć na to wszystko, co mu potrzeba. Ale najgorsze nieszczęście to dopiero dzisiaj, to, co się dzisiaj stało.

— O Jezu!

Miała akuratnie w szufladzie dwadzieścia złotych i czterdzieści pięć groszy, co je była na ratę za palto Staśka odłożyła i właśnie miała z temi, niby, pieniędzmi iść do sklepu. Przeliczyła, brakuje całe cztery złote. Na razie myślała, że się zasunęły gdzie dalej, przetrząsnęła wszystko, napróżno. Z godzinę, albo i więcej zmarnowała, raty nie zapłaciła, bo nie miała innych pieniędzy w domu. Jakoś odrazu na myśl jej nie przyszło, że to może Bronek. Dopiero, kiedy wrócił na obiad, uderzyło ją, że chłopiec jakiś nieswój, a kiedy rozpakował teczkę, zauważyła, jak patrzał na nią ukradkiem, a potem coś chował. To było nowe pudełko z farbami. Dopiero jej się oczy otworzyły, no i zaraz wsiadła na niego, aż się do bicia porwała. Chłopak już się nawet nie próbował zapierać. Przyznał się odrazu, a kiedy mu zaczęła od złodziejów wymyślać, to ten taki zestrachany zawsze, ten niemrawy Bronek odciął się tak, że aż jej dech zaparło. Powiedział jej, matce, że to ona winna, że to on przez nią musiał wziąć te pieniądze, bo mu ich żałowała za każdym razem, kiedy o nie prosił. Tu już—opowiadała dalej—sama nie wiedziała, co ma chłopakowi odpowiedzieć. Krzyknęła ostro, że on dobrze wie, jak to u nich jest, jak jej ciężko i że co kradzież, to kradzież. A on na to, moja pani Krupińska, on na to aż zasyczał. „Aha, jak na to—to jest, na wódkę dla ojca to są pieniądze, a dla mnie to nigdy ich nie było?" Dopiero ona teraz jakby na oczy przejrzała, że to już inny Bronek stoi przed nią, jak w nią temi złemi, obcemi oczami uderzył, że to już inny dzieciak, że to nie to łagodne, potulne stworzenie, tylko ktoś całkiem nowy. Coś się w nim odmieniło. A kiedy raz jeszcze powtórzył hardo:

— A co mama myśli, ja już nie mogę tak bez niczego wytrzymać! — To jej mało co z żalu serce nie pękło.

A potem, potem zaczęło ją sumienie gryźć. Że to on może ma i trochę racji, bo często było tak jak mówił. Ale raczejby padła, niżby się do tego przed dzieckiem przyznała. Ale najgorsze było, że ani myślał jej przepraszać. Nawet sobie gwizdać zaczął. Tu kobieta rozpłakała się nanowo. Uderzyła ją, jak grom myśl, że dziecko daleko od niej odeszło, uderzyła ją myśl, że ta pierwsza kradzież—to może nie ostatnia, że oto syn wszedł na drogę, z której może nie zawrócić?

BOHDAN PAWŁOWICZ.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

GDYNIA MIASTO POLSKIEJ PRZYSZŁOŚCI.

Gdy ukazały się przed nami liczne zabudowania Kamiennej Góry, mój towarzysz wpadł w zachwyt.

— Wspaniale! — wołał — przed pięciu laty była tu „pustynia"!

Pociąg zwolnił i ostrożnie wjeżdżał na stację.

Francuz zdjął walizkę z siadki i rzekł, z uprzejmym uśmiechem:

— Bardzo jestem rad, że ponownie mogę odwiedzić waszą Casablancę,

— Co pana sprowadza do nas, monsieur?

— Interesy, panie, interesy. „Coraz więcej spraw skupia się koło waszego młodego portu, magnifique!

Zgrzytnęły hamulce, pośpieszny stanął.

— Gdynia! — zawołali konduktorzy.

...Na prowizorycznym, żwirowanym peronie było dość ludno, mimo dotkliwego zimna...

...Kłęby dymów i pary unosiły się nad oddalonym portem...

...Dworzec piętrzył się przed nami dziwaczną sylwetą...

...Miasto rozpełzało szeroko, zdawało się bezładnie i bezplanowo...

...Czerwieniały mury niewykończone i nieotynkowane, bieliły się ściany wielkich gmachów poczty, szkół powszechnych i magistratu...

— Buduje się, buduje! — wołał francuz. Zacierał ręce i podskakiwał zabawnie.

— Mróz, zima!

— Mamy w tym roku wyjątkowe mrozy, dostęp do portu utrudniony. Zamarza.

— Jak się masz, stary! — wołał ku mnie kolega i przyjaciel: marynarz, który oczekiwał nas w obszernym hallu dworca.

Przedstawiłem go francuzowi.

— No panowie? — zapytał cudzoziemiec — ruch zamarł w porcie?

— Ale gdzie tam! — wesoło odparł marynarz — praca wre, choć może nie taka intensywna, jak w listopadzie...

— Ciekaw jestem danych z jesieni! — odezwałem się.

— W listopadzie, zawinęło do portu 87 statków, o łącznej ładowności 78.659 netto tonn. Przywieziono 740 t. tomasówki, 350 t. drobnicy, 200 t. ryżu, 55 t. śledzi, 23 t. wina, 15 t. kauczuku i kakao.

Wypłynęły, w ciągu miesiąca 82 statki. Wywieziono węgla 136.968 tonn, statkowego 6.802,5 tonn, części do maszyn 88 tonn ziarna, koniczyny, oraz wyki 29 tonn.

Obrót handlowy w listopadzie wyniósł 145.271 t.

— To są cyfry! — z uznaniem zawołał cudzoziemiec. Marynarz uśmiechnął się.

— Nieźle — przyznał skromnie — zwłaszcza, gdy zestawimy ze statystyką lat dawniejszych. Naprzykład w roku 1926, w najruchliwszym miesiącu czerwcu, wywieźliśmy wszystkiego 38.127 tonn węgla.

— A 1928 roku?

— 154, 212 tonn, również w czerwcu!

— Bój się Boga! — zawołałem — chodząca z ciebie encyklopedja!

Nic nieodpowiedział.

— Była mowa o winie! — rzekł żałośnie francuz, a zimno, brrr!

Wsiedliśmy więc do „taksi“ i po chwili, umyci i wyświeżeni, siedzieliśmy za stołem w kasynie.

Francuz pił, jak smok i, wykrzykiwał swoje:

— Wspaniałe!

— Wino?

— Nie! O winie nie macie pojęcia;



RYBACY NA KASZUBSKIEM WYBRZEŻU.

Ale ten port, to wyrastające, jak na drożdżach miasto! Wspaniałe, wspaniałe!

— Miasto wygląda jeszcze dość chaotycznie — spokojnie zauważył marynarz — a to z powodu licznych prac, które prowadzi się jednocześnie. Tak więc zakładane są rury kanalizacyjne i wodociągowe, telefony, „trasowane” są ulice, budowane jezdnie i chodniki. W tym samym czasie zwożone są materjały do dalszych budowli, mających powstać na wiosnę.

W roku ubiegłym powstało około 50 kompleksów gmachów. Między innemi Bank Polski, centrala Żeglugi Polskiej (tow.) i poczta.

Jeszcze w kwietniu 1928 roku Gdynia liczyła nie całe 7.000 mieszkańców, a już w grudniu tegoż roku liczba ta *wzrosła do 24.000!*

— A port?

— W porcie pierwsza serja robót zakończona zostanie w roku bieżącym. Już teraz zawijają do Gdyni statki do pojemności 15.000 tonn („Orania“)...

Buduje się port rybacki i pasażerski....

Marynarz urwał i zapatrzył się przez okno na siniejącą, bladą powierzchnię morza.

Daleko, daleko, bielił się Hel długą, wąziutką linją. Bliżej na „redzie” gdyńskiej stało na kotwicy kilka parowców.

— Widzicie panowie — odezwał się ponownie marynarz — ruch w porcie wzrasta nieproporcjonalnie do przyspieszonego tempa robót inwestycyjnych.

Tłok taki przy wykończonych wybrzeżach, że kapitanat portu zmuszony jest trzymać nadchodzące statki na kotwicy.

Niejednokrotnie oczekują one swojej kolejki po 2, 3 tygodnie.

Trzeba więc rozbudowywać, rozbudowywać, jak najprędzej?

— Siedem statków!

— Tak, siedem. Teraz, mino mrozów i złej pogody, a w lecie roku ubiegłego oczekiwało do 14-stu, 24-ech parowców.

Za wolno budują!

— Jeszcze mu zawolno! — zawołał francuz ze śmiechem.

— Może pójdziemy na przechadzkę? — zaproponowałem.

Francuz spojrzał żałośnie na wino i na zamróz na szybach, lecz nie oponował.

Wyszliśmy.

Słońce przebiło się przez chmury.

...Rozsrebrzył się brylantami śnieg...

...Niebiesko-fijołkowe cienie kładły się na jego nieskalaną biel...

...W porcie huczała basem syrena jakiegoś statku...

...Terkotały windy i syczały maszyny parowe dźwigów...

...Lokomotywy gwizdały długo, przeciągle i żałośnie...

...W chłodnem powietrzu białe kłęby pary wznosiły się coraz wyżej i wyżej, aż po chmury, rwanemi stadami pędzące po niebie....

Francuz zapalił fajkę, otulił się szczelniej futrem i rzekł przez zęby:

Ville champignon!!! [1]).

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA.

ŻYCIE NA WIELKIM STATKU TRANSATLANTYCKIM.

Wieczorem udałam się na eksplorację tego wielkiego hotelu, w którym miałam cały miesiąc przebywać. Miał on, o ile się nie mylę, dziesięć piętr, oddanych do rozporządzenia publiczności, nie licząc pomieszczenia maszyn. Między wszystkiemi piętrami funkcjonowały windy, i naprawdę, pomimo, że na statku niewiele można było używać ruchu, windy miały zawsze ogromne powodzenie. Wielka, dwupiętrowa sala jadalna mieściła małe stoliczki, przy których siadało od sześciu do dziesięciu osób w jednej grupie. W głębi estrada dla orkiestry, która zawsze najpierw wesołym marszem zachęcała do zajścia na posiłek, a potem już przez cały czas grała rozmaite tańce. Spis ich wieczór wydrukowany był na oddzielnej kartce i leżał na każdym stoliku. Nad salą jadalną znajdował się również wielki salon, zwany też zależnie od okoliczności, salą balową, zastawiony miękiemi meblami, wyściełany bardzo pięknemi dywanami, pełen palm i kwiatów. Za salonem była czytelnia z wielką szafą bibljoteczną, pełną książek we wszystkich językach, i sala do pisania z wielką ilością biureczek. Wyżej, na następnem piętrze, palarnia, pokoje dziecinne, wyposażone w wielką ilość wszelkich możliwych gier i zabawek, huśtawki, konie na biegunach, etc., i „gimnasio” z wszelkiemi przyborami do gimnastyki. Był więc tam koń elektryczny, którego za pomocą przekładni można było wprawić w dziki, przestrzeń pożerający galop, przyrząd do wiosłowania, gdzie przykręcanie śruby imitowało wzrastający opór wody, wreszcie drabinki, wielkie piłki, tak zwane „medicine ball”, a także dwa rowery z wskazówką, pokazującą ilość przejechanych kilometrów. Przypominała się pani Dulska.

Pod salą jadalną znajdował się wielki basen do pływania, otoczony kabinami, gdzie można się było rozbierać, o ile ktoś odrazu ze swojej kajuty nie przyszedł w kąpielowym kostjumie. Na górze, na najwyższym pokładzie, place tenisowe, otoczone siatką,

[1]) Miasto rośnie, jak grzyby po deszczu!!!

i wolna przestrzeń, zastawiona tylko wentylatorami i kominami. Zapomniałam dodać, że na jednym z niższych pokładów deski były wymierzone, a cyfry wypisane na ścianie, wskazujące chciwym przechadzki, ile też już mil uszli, biegając wokoło. W pierwszych dniach niesłychanie mnie zadziwiał widok ludzi, którzy po każdem jedzeniu biegali, jak warjaci, po owym pokładzie, zawsze samotnie i nic do nikogo nie mówiąc. Potem biegałam i ja tak samo, wyliczywszy sobie przestrzeń podług wypisanych na ścianie liczb. Trzeba było przecież czasem iść na spacer.

Teraz powie ktoś zapewne, i przypuszczam odrazu, że będzie to jakiś marzyciel: a może? Przecież to był statek, przecież ten pływający hotel poruszał się po rozległem, zielonem, poetycznem morzu? Czy morze w żadnej formie nie wchodziło w program dnia na statku?

Odpowiedź na to będzie brzmiała zupełnie prozaicznie: owszem, w formie słonej kąpieli w basenie albo w wannie każdego rana. I to wszystko.

Oczywiście, było tam morze, a nawet ocean, po czem że innem mógłby płynąć taki ogromny, liczący sobie 35 tysięcy groston, długi na 630 stóp statek? Była woda i nawet zupełnie zielona, pełna ryb najrozmaitszego gatunku. Między temiż były i słynne ekshibicjonistki, ryby latające, które ciągle przebywają nad wodą. Ale tak naprawdę, powiedzmy pocichu, morza nie było wcale. Nikt go nigdy nie widział.

Cały statek, od góry do dołu otoczony był wysokiemi, biało pomalowanemi barjerami, których luki zawieszone były nieprzemakalnem płótnem. Po obiedzie i po spacerze wszyscy zasiadali na wygodnych leżakach, dosuwając je do samej barjery. Cóż z tego, im bliżej barjery stał leżak, tem mniej było, leżąc, widać morza. Trzeba było poprostu wstać, oprzeć się o pręty i mocno się na dół przechylić. Wtedy widziało się wodę.

Ale ten statek, jak każdy statek, miał swoje tajemnice: trzeba było tylko zejść na dół, koło sali jadalnej. Tam otwierały się drzwi, zasunięte ciężką, żelazną kratą, otwierały się prosto w wodę. Tutaj, o dwa metry pod nogami, rozpadły się znienacka zielone otchłanie, tutaj wielki kadłub okrętu nurzał się w płynnym żywiole, który rozstępował się przed jego niepohamowanym pędem, tworząc dwie ściany płynnego szkła.

Ocean kołysał się i cofał, ogromne fale nadchodziły z bezmiaru, i, spotykając się z falami, które tworzył okręt, żłobiły wodę w potworne leje, w bezdenne, kotłujące się przepaście w które z hukiem waliły się nowe fale. Białe piany obrywały się z gór zielonego szkła i pryskały całemi płatami w powietrze, woda rozpryskiwała się w tysiące kropel, zraszając twarz i włosy, wdzierając się w usta ostrym, niezapomnianym smakiem. Od statku na oba boki uciekały latające ryby, małe, jak flądry płaskie stworzenia z niepomiernie wydłużonemi skrzelami, które nosiły je między falami. Czasem dzień cały za statkiem biegały wielkie ryby czerwonawe, duże, jak delfiny, i tak jak one, skaczące wśród wodnych pagórków. W zatoce Pernambuco pokazały się krwiożercze rekiny. W zatoce Montevideo między statkami pląsały wesołe foki. Potem, na wysokości Buenos Aires, wytrysły koło statku potężne fontanny wielorybów.

Na dalekich wodach majaczyły wyspy i przepadały we mgle. Wszystkie wydawały się piękne. A wieczorem można jeszcze było iść na plac tenisowy i tam, kiedy białe cielska kominów także otulone były w suknie nieprzeniknionej ciemności, patrzyć na cały świat, morze i niebo, ciemną otchłań u stóp, po której ślizgały się błyskawice piany, i ciemną otchłań nad głową, niezmierzony ocean nieba, na którym płonęły nieznane w Europie konstelacje, i gdzie rozpalał się co wieczór majestatyczny Krzyż Południa.

Czasem na horyzoncie widać było odległe statki, jasno oświetlone elektrycznem światłem, brzmiące muzyką, którą każdy wiózł ze sobą. Czasem nasze potężne aparaty radiowe łapały oddalone sygnały, czerwone błyskawice najciekawszych w świecie wiadomości. Co rano koło komisarskiego biura wywieszano naszą własną gazetę, depesze z całego ziemskiego globu, wypisane skrótami telegraficznemi równem, maszynowem pismem.

STANISŁAW SIEDLECKI.

ZE SPRAW MIESZKANIOWYCH.

II.

Jakeśmy sobie tak z Kowalską po tej całej awanturze, com ją w poprzednim numerze opisał, z sądu wyszli — bośmy i w sądzie byli — a jakże! Jakeśmy wyszli, powiadam, tak myślę sobie:—pójdę do specjalistów od spraw mieszkaniowych, od rozbudowy. Czyż na miły Bóg, nie znajdzie się ratunku na tę biedę mieszkaniową?

Poszedłem do Współdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu. Rozmawiałem długo z inżynierem.

Mówił, że rada by się znalazła — ale chyba nie prędko jeszcze.

Trzeba budować małe mieszkania dla robotników i pracowników, a jak się tego dużo wybuduje, to wszyscy będą mieszkać poludzku.

Bo w Polsce przed wojną zaborcy, a zwłaszcza

moskale, to wcale nie dbali, by ludność polska miała gdzie mieszkać. A potem w czasie wojny i po wojnie, w czasie inflacji, to zupełnie zaprzestano budowania, przeciwnie: niszczono i burzono.

Tymczasem czas upływał, zaś ludzie rodzili się, dorastali, żenili się i nowe rodziny szukały nowych mieszkań.

W ten sposób powstały zaległości. Mianowicie na same miasta w Polsce brakuje, skromnie licząc, 300.000 mieszkań.

A dalej, jeśli wziąć pod uwagę, że teraz ludności w Polsce rocznie przybywa od 400.000 do 450.000, zaś w miastach znacznie szybciej niż na wsi, to na ten coroczny przyrost ludności w miastach potrzeba nowych 120.000 mieszkań.

To ja się wtedy za głowę złapałem i powiadam:

— Obywatelu kochany! czyż możliwe tyle mieszkań wybudować? Przecież to nie miljony, ale miljardy złotych będzie kosztowało!

A ten, widać piłsudczyk jest, bo tak mi mówi:

— Kochani jak w 1914 roku marszałek Piłsudski zaczął Polskę budować, to co mówili? Mówili, że to mrzonki, a w 18-ym roku już Polska była zbudowana.

A potem znów, gdy w 20-tym roku bolszewicka nawała szła na nas i na całą Europę, to co mówili ludzie? Mówili, że trzeba się poddać. Było dużo takich co odrazu poczęło zmykać do Poznania, a i cała Europa liczyła, że bolszewicy nie oprą się aż nad oceanem Atlantyckim, zjadłszy, oczywiście, wprzód Polskę, Niemcy i Francję.

A co wyszło? Polacy się wzięli w kupę, marszałek umiał poprowadzić i bolszewicy nie oparli się... aż z powrotem w Moskwie.

Więc jak tyle mogliśmy zrobić, to 300.000 mieszkań wybudujemy, nie bójcie się!

— No, jak tak wesoło mówicie, powiadam, to bierzmy się do budowania tych 300.000 i to jak najrychlej, bo znów ten roczny przyrost nam w paradę wejdzie i po kilku latach nie 300.000, ale 600.000 mieszkań budować będziemy musieli.

Ale wtedy się okazało, że to można zrobić ale się jeszcze nie robi. Bo łatwiej jest w Polsce o jednorazowy, bohaterski wysiłek niż o stałą systematyczną pracę. A tu nam woda już się za kołnierz leje.

Komu woda się leje, a mnie, jak wiecie, mydliny się brudne leją.

Więc — powiada dalej ten pan ze spółdzielni — że teraz to Rząd dał nawet dość dużo pieniędzy na budownictwo, bo od 1925 roku coś ze 280 miljonów złotych, ale głównie na większe mieszkania dla urzędników i bogatych ludzi, zaś na małe mieszkania z tego wypadło może 30 miljonów, a może i mniej.

— A dla czegóż — pytam — na małe mieszkania taki skąpy jest Rząd?

— Najprzód, powiada inżynier, dla tego, że jak Rząd ma co do rozdania, czy do pożyczenia, to zanim się ludzie ubożsi, a nawet i organizacje robotnicze dowiedzą, że tam coś jest, to już bogacze i spółdzielnie urzędnicze do ogonka staną, więc zawsze ty, człowiecze, będziesz na szarym końcu.

Ale głównie, powiada, dla tego jeszcze, że kredyt, co się teraz daje na budowę nowych domów, jest za drogi dla niezamożnej ludności.

Wprawdzie Rząd pokrywa część oprocentowania kredytów ze specjalnego funduszu, ale i to co zostaje do płacenia, wynosi razem z amortyzacją $8\frac{1}{2}\%$ rocznie.

W ten sposób komorne w domu nowozbudowanym od pokoju z kuchnią nie może być tańsze jak 80 złotych, a od 2 pokoi z kuchnią to wyniesie do 120 zł.

— Cóż na to poradzić? pytam, bo istotnie 80 zł. to masa gotówki, a ja za te moje pół suteryny teraz to płacę tylko 35 zł.

— Trzeba, powiada, zrobić tak, jak we Francji, albo w Wiedniu.

D. c. n

POMIAN.

PRAWO I ŻYCIE.

Do komisarjatu policji przyprowadził ktoś dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę w wieku może 8—10 lat. Dzieci miały sine z mrozu twarzyczki, a oczy szkliste z gorączki. Siedziały na ulicy pod murem i płakały, więc jakiś przechodzień zlitował się nad niemi i jako dwoje małych włóczęgów sprowadził do komisarjatu, by ten z kolei odesłał bezdomne biedactwa do Pogotowia Opiekuńczego.

„Skąd wy jesteście?“, pyta pan przodownik, bo musi spisać protokół. Dzieci w bek. I ani słowa nie można z nich wydobyć. Są tak przestraszone, że aż się trzęsą.

A panu przodownikowi przynoszą właśnie do kancelarji herbatę. Ma pić śniadanie. Pan policjant podsuwa tę herbatę dzieciom, wyjmuje ze swego płaszcza jakąś paczkę, rozwija ją. Chleb z serem. Rozłamuje go, daje chłopcu i dziewczynce. Chciwie, jak zwierzątka, rzucają się dzieci na jedzenie; wypijają herbatę z jednej szklanki i zmiatają wszystko, co do okruszynki. Odtajały im policzki, nosy i ręce. Pan

policjant patrzy i uśmiecha się, jakby to on sam najadł się tem śniadaniem.

— No, a teraz smyki! — gadać gdzie mieszkacie?

Dzieciom otwierają się buzie. Już się tu nikogo nie boją. Więc mówią, że mieszkają na tej a tej ulicy, pod tym a tym numerem. — U kogo? — U rodziców. — Jakto, więc mają rodziców, więc dlaczego uciekły z domu? Dzieci spuszczają głowy. Milczą. Zacinają się i pochlipują na nowo.

Więc pan przodownik poleca drugiemu policjantowi, żeby zawiadomił matkę tych malców, — niech zaraz przyjdzie po dzieci. I w niespełna pół godziny przylatuje matka. Drobna, chuda, mizerna kobiecina z zaczerwienionemi oczami. — To pani dzieci?— Tak, to moje. — Dlaczego się tak wałęsają, mogły zamarznąć! Uciekły? — ale! uciekły! — I kobiecina wybucha lamentem. Płynie potok słów, złorzeczenia i rozpaczy. — Bo dzieci wcale same nie uciekły tylko *wypędził je ojciec*. Rodzony ojciec. W nocy. O drugiej w nocy, na mróz. I nieraz już tak zrobił. Wraca do domu pijany — całą pensję przepija, a oni nie mają co jeść. Więc wtedy ona mu wymyśla.

— „Dzieci nie mają co jeść!“ — mówi mu. I wtedy on ją bije, a dzieci wyrzuca na dwór. Ona nie ma siły obronić ich i siebie. „Co ty robisz zwierzu, to twoje dzieci! — krzyczy. — Mnie dzieci niepotrzebne—odpowiada ten ich rodzony ojciec.—Niech idą precz, mogą sobie iść gdzie im się podoba. — Więc jak dzieci wypędzi, to one boją się wracać do domu. A ona szuka ich po mieście. Znajdzie — zabierze do domu; przez parę dni jest spokój, a puźniej znów na nowo! Oh! lepiej nie żyć im *sierotom!*

Kobiecina otula się w chustkę; popycha dzieci do drzwi. Drepczą, ociągając się i mają takie miny, jakby wolały zostać w komisarjacie.

* * *

Innym razem zatrzymano w komisarjacie chłopca piętnastoletniego za handel irysami bez patentu. Chłopak jest zameldowany i mieszka *od roku* w przytułku przy ul. Dzikiej t. zw. „Cyrku“. Ma na sobie tylko ubranie porwane i cuchnące. Przez dziury marynarki prześwituje gołe ciało: chłopiec nie ma koszuli. „Jak się nazywasz, skąd jesteś? — zadają mu zwykłe pytania. I cóż się okazuje? Chłopiec opowiada, że ma matkę, która wyszła powtórnie za mąż. Ojczym jest majstrem, zarabia nieźle, ale nie chce pasierba utrzymywać. — „Jest już duży, niech sam daje sobie radę, ja się ożeniłem z tobą, a nie z twoim synem“. Tak powiedział do matki i wypędził go z domu. Cóż na to matka? Płakała, ale nic nie umiała poradzić. Bała się bicia. Więc chłopak jakiś czas wałęsał się po mieście, a jak przyszła zima, zamieszkał w „Cyrku“. Z żebraniny uciułał sobie trochę pieniędzy i handluje teraz irysami. Do żadnej roboty go wziąć nie chcą, bo niema ubrania. Czy chodzi kiedy do domu? — Nie, nie chodzi. Bo jak kiedyś zaszedł, to znowu były awantury i ojczym zbił matkę. A on matkę kocha, więc już lepiej — niech będzie, jak jest.

* * *

Kiedyś znów przed Sądem dla nieletnich staje chłopiec oskarżony o kradzież woreczka z pieniędzmi. Chłopiec przyznaje się do winy.

„Dlaczego żeś to zrobił? Plamisz sobie całe życie“ — mówi do niego pan sędzia. „Wiem, że źle zrobiłem“ — odpowiada chłopak — „ale bałem się ojca“. Jakto, czyż ojciec każe mu kraść? — Nie, ojciec nie każe mu kraść. Ojciec każe mu pracować. — Ale jak on z jakiegokolwiekbądź powodu straci pracę, nie przyjmuje żadnych tłomaczeń. „Jak nie pracujesz“ — mówi — „to nie będziesz jadł.“ I nie pozwala matce dać mu nawet kawałka chleba. Więc jak go teraz majster wydalił, bo nie było roboty, to on bał się przyznać ojcu, że nie pracuje, bo by chodził głodny. Wychodził więc rano z domu, wracał wieczorem, — że to niby jest w zajęciu, — a tymczasem błąkał się po ulicach. Ale przyszła sobota i musiał oddać ojcu pieniądze, te pieniądze, których nie zarobił. Więc dlatego ukradł.

M. J. WIELOPOLSKA.

KINOKRONIKA.

(WICHER z Liljaną Gisch i W WIRZE WIELKOMIEJSKIM z Lon Chaneyem).

Dwa światy, zdawałoby się nie graniczące ze sobą na żadnych punktach — dwa bieguny, ale w tem znaczeniu, że nawet ich temperatura jest odmienną— dwa zdarzenia, nie mające pozornie żadnej stycznej, a jednak odrazu uderza w oczy pewna doraźna wspólność. Jakaż jest wspólność między brutalnym filmem Tod Browna, opiewającym życie bandytów New-Yorku, *(W wirze wielkomiejskim)* a subtelną kreacją Sjoestroma, malującą dalekie, dzikie] pustynie Arizony *(Wicher)*? Oto: oba filmy wysunęły na pierwszy plan jedną zasadniczą i jakoby druzgocącą potęgę: Sjoestrom potęgę żywiołu, Tod Brown potęgę namiętności ludzkiej. Sjoestrom przeprowadził zwycięzko swoją tezę, dobrał nawet genialnie wątłość Liljany Gisch,

aby ją przeciwstawić rozhukanej okrutności stepowych wichrów. Sierota uboga, Liljana Gisch rzucona jest na te stepy złowrogie, między obcych, zdemoralizowanych furją przyrody ludzi. Wypychają ją za mąż za człowieka jej niemiłego (Lars Hansona) — orkany wciąż wyją do wtóru jej drobniutkim klęskom i rozpaczom, rozdmuchując je, jak rozdmuchują nikły płomień lampy do wielkości pożaru. Widz patrzy osłupiały na ową przeciętną historyjkę o biednej sierocie, która się staje powoli symbolem czegoś silnego, czezuje jej lękliwe, dziewczęce serce. Przy żadnej treści, dał Sjoestrom treść głęboką, głęboką poezję i najstarszy pewnik, że silnem w człowieku jest tylko serce, że ono tylko zbroi człowieka w pancerz niepokonany — Liljana podporządkowuje się przedziwnie tutaj owemu jedynemu właściwie artyście, to jest wichrowi, dobywa zaś akordów dramatycznych, gdy atakuje ją żywioł bezpośrednio. Że wicher jest objektem wysoce fotogenicznym, wiedzieliśmy dawno, ale pierwszy raz dał nam reżyser poznać, że można wichru



LILJANA GISCH.

goś stokroć silniejszego od piekielnych mocy stepowych. Oto bowiem przychodzi Miłość. Zwyczajna, łagodna, prosta miłość ludzka. I nagle wykrzesuje ona z wątłej Liljany niespodzieną energję. Liljana, która bała się spojrzeć przez okno, na tumany miotanego piachu — podchodzi teraz spokojnie do drzwi swojej rudery, otwiera je szeroko na straszliwą pustynię i bez lęku już patrzy spokojnie w obłąkany wichrami krajobraz. Skąd ta nagła moc? Liljana stoi w tych drzwiach otwartych na piekło, bez trwogi, bo oparła się o ramię kochanego człowieka. Ramię to galwaniużyć jako zasadniczego, podstawowego motywu psychologicznego i artystycznego filmu. Eksploatacja ta dała wyniki wysokiej klasy. Lars Hansonwy kazał raz jeszcze, że nie nadaje się do ról lekkich, łobuzerskich (Część filmu pierwsza), a jest dużej miary artystą, w rolach dramatycznych. Dorota Gummings w krótkiej, epizodycznej roli „wystrzeliła“ świetnym swoim talentem— ale — ale — czy konieczną była ta scena „szlachtowania“ świni, dla rzekomego podkreślenia „jaśniepańskości“ Liljany Gisch?!

Tod Brown trzymał się zasady podobnej Sioe-

stromowi w przeciwstawianiu najwątlejszego ułamka człowieczego: nieujarzmionym, nieokiełznanym mocom. Tym razem chodziło o żywioł ludzkich namiętności. Płaczliwa, bezbronna, głupiutka Marcelina Day znalazła się w środowisku bandy rabusiów. Nic nie rozumie co się wokół niej dzieje — bierze wszystko za dobrą monetę i idzie na lep rzekomej pogody swego środowiska (przypadkowo). I w przeciwieństwie do Liljany Gisch, w sprzeczności zdaje się z samą intencją reżysera, Marcelina Day nie zwycięża. Jej kwakierska biblja wyślizguje się ze zbyt naiwnych Marceliny Day uderzyła w próżnię. Żywioł ludzkich namiętności okazał się silniejszym, niźli żywioły natury. W *Wichrze* zasłoniła się słabość człowieka sercem, jak niezawodnym pancerzem — w Brodwayu, słabość człowieka obnażyła tylko to serce nieopatrznie i niepotrzebnie, i — zawarła ze złem kompromis nieświadomy. W gruncie rzeczy, w procesie chemicznym — piewiastek dobra rozszczepił się tu na tak drobne atomy, tak nieżywotne i nierealne, że sens moralny filmu, do którego reżyser dążył usilnie równa się zeru. Zeru jednak nie równa się sam film,



LON CHANEY.

rąk i uderza w próżnię. Pierwiastkami Dobra wnosi raczej rozkład, niźli uleczenie. Lon Chaney chce się nawrócić z bandyckich dróg, lecz wyłącznie dla pięknych oczu Marceliny, a wcale nie dla wzniosłych tekstów biblji. A kiedy Marcelina obiera drugiego neofitę cnoty—młodszego i urodziwszego—Lon Chaney wraca do swojej bandytki, do Betty Compson. Pamiętajmy zaś, że Betty Compson jest symbolem zła i przewrotności, więc możemy słusznie rzec, że biblja wybitnie artystyczny, pogłębiony, kunsztownie zmontowany. Strawą zawsze dodatnią i wyborową jest dzieło sztuki, które pobudza do refleksji. Mimo wszystko uważam *Idjotę* za znacznie wyższą kreację Lon Chaneya. Powtarza się trochę Lon Chaney w ekspresji i w środkach emocjonalnych i mimicznych. Świetne typy stworzyła Betty Compson i niespodziewanie dobry był James Murray, młody artysta, wybijający się impetycznie na czoło amantów ekranu.

ŚWIAT W PROMIENIU TYGODNIA.

Mróz. Przy oddychaniu wciąga człowiek w płuca jakby tłuczony lód—i zachłystuje się nim. Bolą oczy i kości czołowe. Odmraża się uszy, nosy, policzki. Mięśnie ciągle naprężone, ramiona skulone. Ciągłe marznięcie—stało się fizyczną męką — i to nawet dla ciepło ubranych. A dla źle ubranych? Niema na to słów.

W niektórych województwach koleje zupełnie stanęły. W innych zmniejszono ruch. Połączenie telegraficzne i telefoniczne poprzerywane. I to najstraszniejsze: węgla brak!

PROCES O ZNĘCANIE SIĘ NAD DZIEĆMI W ZAKŁADZIE WYCHOWACZO-POPRAWNYM W STUDZIEŃCU.

W tym tygodniu zakończył się niezwykły proces o znęcanie się nad dziećmi. Proces ten trwał dni 11. Każdy dzień przynosił coraz to inne wstrząsające szczegóły. Społeczeństwo z oburzeniem, z uczuciem wstydu i upokorzenia — śledziło skandaliczną tę sprawę. Sprawa już skończona. Winowajcy skazani zostali. Było ich 9 osób. Otrzymali karę więzienia: jeden — 3 lata, trzech — 1 rok, jeden — na $1^1/_2$ roku, reszta od 10 miesięcy do 1 miesiąca.

Winni więc zostali ukarani.

Społeczeństwo nie odetchnęło jednak z ulgą.

Nie — spocząć nie możemy, dopóki nie zdamy sobie jasno sprawy — jak postąpić, by podobne zbrodnie więcej się nie powtarzały.

W następnym numerze zajmiemy się bliżej sprawą Studzieńca.

WYSTAWA SZKOLNA.

Wystawa szkolna, urządzona przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Warszawskiego w gmachu gimnazjum im. Królowej Jadwigi, trwała od 31 stycznia do 10 lutego i ściągnęła tłumy ludzi: dzieci, rodziców, nauczycieli i wychowawców oraz osób niezwiązanych ze szkołą, ale oceniających szkolnictwo dla całokształtu naszego życia.

Jednym z celów wystawy było wykazanie postępu i rozwoju szkolnictwa w ciągu dziesięciolecia niepodległości. W jednym z najbliższych numerów pisma omówimy szczegółowo sprawę wystawy.

SKRZYNKA DO LISTÓW.

Szanowna Redakcjo!

Wyczytałam w pierwszym numerze pisma, że można zwracać się do Redakcji o poradę, jak sobie poradzić w niektórych kłopotach z dziećmi.

Ja mam syna, który ma 14 lat i chodzi do 6-ej klasy szkoły powszechnej, uczy się kiepsko i zupełnie go ta nauka nie interesuje. Lekcji nigdy sam nie odrobi, dopiero jak go napędzać, i to niedbale. Ale do szkoły lubi chodzić, żeby się z kolegami spotkać i dokazywać — nauczyciel mówi, że jest nieznośny, nieposłuszny, odpowiada, ale lubi posłużyć, mapę przynieść, bloki do rysunku innym rozdać, wogóle zajmować się gospodarstwem w klasie, i to pamięta i zawsze w porę zrobi.

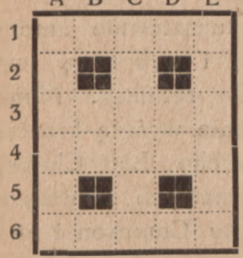
Jak go spytać, co chce robić po ukończeniu szkoły, to mówi, że sam nie wie i wzrusza ramionami.

Do 7-ej klasy nie mają ochoty go brać, bo psuje innych. Chodziłam do szkoły do p. wychowawcy i p. kierownika, ale mi nic nie poradzili, bo mówią, że nie ma ani zdolności, ani chęci do niczego. Prosiłabym o radę, co mam z nim robić.

M. K. z ulicy Towarowej.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

KRZYŻÓWKA UŁ. P. CZESŁAW GOŁĘBIOWSKI.



Znaczenie wyrazów:

Poziome:
1A Członek rodziny.
3A Grecka litera.
4A Rodzaj głosu.
6A Miara drogich kamieni.

Pionowe:
A1 Narzędzie rzemieślnicze
B3 Litera (wspak).
C1 Instruktor.
D3 Zaimek.
E1 Przyrząd.

KALAMBUR UŁ. P. JERZY BOND.

Kiedy *urok ofiarujesz*,
Piękny taniec zatańcujesz.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji 163-32, Tel. administracji 517-35.
Redakcja otwarta codziennie od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. --,95, Kwartalnie Zł. 2,85, Półrocznie Zł. 5,70, Rocznie Zł. 11,40

Zakłady Graficzne „WUZET“—Miodowa 23, Tel. 140-17.